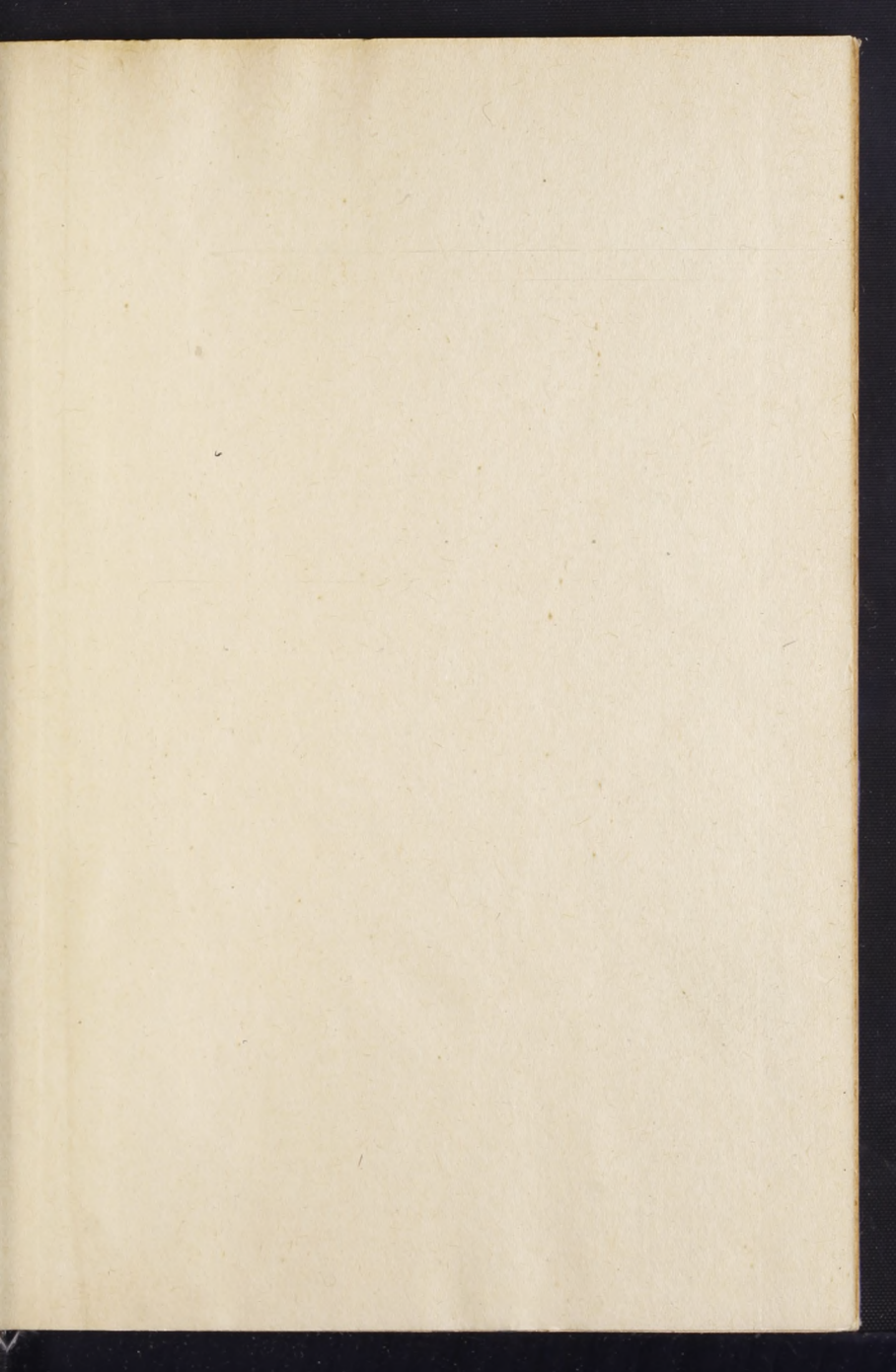
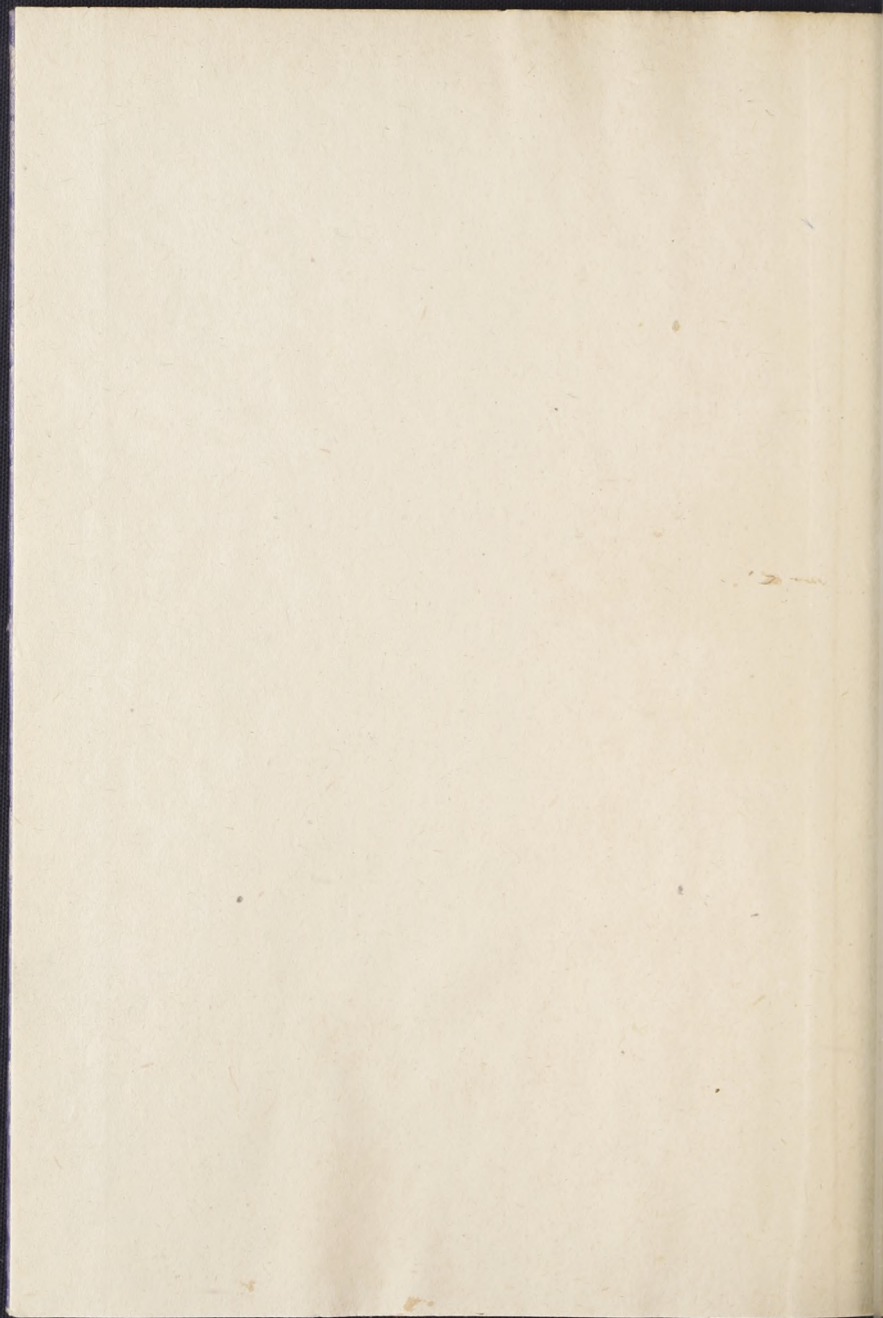


409049









2.409.049  
BIBLIOTECZKA MŁODZIEŻY SZKOLNEJ 63



M. J. ZALESKA

**CZTERY PRZĄDKI  
ROBOTNICY PANA JAKÓBA**



WARSZAWA ② NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA  
KRAKÓW ② G. GEBETHNER I SPÓŁKA ② 1908

6 kop. — 16 hal.

# BIBLIOTECZKA UNIWERSYTETÓW LUDOWYCH.

	Kop.
1. Konopnicka Marya. Dym . . . . .	6
2. » » Banasiowa . . . . .	6
3. » » Nasza szkapca . . . . .	10
4. » » Niemczaki . . . . .	6
5. Żeromski Stefan. Siłaczka. — Na pokładzie . . . . .	8
6. Prus Bolesław. Antek . . . . .	8
7. » » Na wakacyach. — Katarynka . . . . .	8
8. Orzeszkowa Eliza. Siteczko. — Czy pamiętasz ? . . . . .	8
9. » » Babunia . . . . .	8
10. » » Ogniwa . . . . .	8
11. » » Panna Antonina . . . . .	8
12. » » A... B... C... . . . . .	8
13. Sienkiewicz Henryk. Janko muzykant. — Latarnik . . . . .	6
14. » » Wspomnienie z Maripozy. — Jamioł. — Organista z Ponikły . . . . .	8
15. » » Bartek zwycięzca . . . . .	12
16. Galle Henryk. Czytanki polskie I. . . . .	30
17. » » Czytanki polskie II. . . . .	30
18. Reymont Władysław. Sąd . . . . .	8
19. » » W porębie. — Przy robocie . . . . .	8
20. » » Tomek Baran . . . . .	12
21. » » Pewnego dnia . . . . .	8
22. Junosza Klemens. Froim. — Zając . . . . .	8
23. Kraszewski J. I. Łotek na łożu śmierci. — Tatarzy na weselu . . . . .	6
24. » » Upiór . . . . .	10
25. » » Z dziennika starego dziada . . . . .	10
26. » » Profesor Milczek — Rejent Wątróbka . . . . .	6
27. » » W oknie. — Nauczyciele sieroty . . . . .	8
28. Rzewuski Henryk. Kazanie konfederackie. — Książd Marek . . . . .	6
29. » » Tadeusz Reyten (z Pam. Soplicy) . . . . .	6
30. » » Sawa — Pan Borowski (z Pam. Soplicy) . . . . .	10
31. Sienkiewicz Henryk. Pieszko przez Czarny Łąd (Listy z Afryki) I. . . . .	10
32. » » Pieszko przez Czarny Łąd (Listy z Afryki) II. . . . .	10
33. » » Na Oceanie Atlantyckim (Listy z podróży) . . . . .	8
34. » » Z puszczy amerykańskiej » . . . . .	8
35. Prus Bolesław. Kamizelka. — Michałko . . . . .	8
36. Dygasiński Ad. W puszczy. . . . .	12
37. » » Wilk, psy i ludzie . . . . .	10
38. Junosza Klemens. Wilki. — Wesolego . . . . .	8
39. Tetmajer Kaz. Książd Piotr . . . . .	6
40. Gomulicki W. Chałat . . . . .	8
41. Żeromski Stef. Zmierzch. — Cokolwiek się zdarzy . . . . .	6
42. Skarbek F. Łukasz Stempel . . . . .	6
43. » » Mundur. — Jaszczułt . . . . .	6
44. » » Dwie siostry. — Przewoźnik . . . . .	6
45. Wilkoński A. Moja mówka pogrzebowa. — Przypadek . . . . .	6
46. » » Gorzkie wspomnienia słodkiej nadziei . . . . .	8
47. » » Wspomnienia szkolne. — Pomyłka. — Ułamek. . . . .	6
48. Żmichowska N. Prządki. Ze wspomnień dzieciennego wieku . . . . .	8
49. Sienkiewicz H. Z puszczy Białowieskiej . . . . .	6
50. » » Niewola tatarska . . . . .	8
51. » » Pójdźmy za Nim! . . . . .	8
52. Łętowski Jul. Wawrzynowie . . . . .	8

BIBLIOTECZKA MŁODZIEŻY SZKOLNEJ 63

---

---

M. J. ZALESKA

—•—

# CZTERY PRZĄDKI

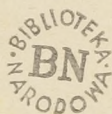
—•—

## ROBOTNICY PANA JAKÓBA



WARSZAWA  
NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA  
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

1908



1.409,049

---

KRAKOW - DRUK W L. ANCZYCA I SPOŁKI.

1968 K 1242/22



## Cztery prządki.

---

Pewnego razu zeszły się z sobą cztery prządki, sławne na całym świecie z niepospolitej sztuki i zręczności. Przywitały się grzecznie, i zaraz każda zasiadła do swojej roboty, nie chcąc stracić ani chwili czasu, przytem zabawiały się rozmową.

Pierwsza ubrana była po wiejsku, bardzo skromnie, ale tak świeżo i starannie, że miło było patrzeć na nią. Włosy jej jasne jak len, splecione były w gładkie warkocze, spadające na ramiona. Faldzista spódniczka z niewarowego <sup>1)</sup> płótna, biały jak śnieg fartuszek i koszulka podobna, oto był cały jej strój. Za nią postępowało dwóch wiejskich chłopaków, ubranych pięknie, jak na niedzielę; nieśli różne przybory, z których w mgnieniu oka urządzili jej wygodne siedzenie. Więc kilkadziesiąt sztuk płótna zręcznie ułożyli w stos,

---

<sup>1)</sup> Niewarowe płótno — szare, niebielone.

rozpięli nad tem ładny namiocik z szarego, niewarowego batystu<sup>1)</sup>, podobnymi sznurami podpięty; potem jeden podał jej prześliczną kądziel, z pachnącego cedrowego drzewa, miękkim lnem nałożoną, drugi podobne wrzeciono, a pracowita prządka zręcznie zakręciła wrzecionkiem i wyciągnęła długą, cieniutką nitkę. Była to panna Konopianka, zarządzająca na całej ziemi wszelkiem przedziwem z lnu i konopi.

Obok umieściła się druga prządka. Ta miała ubranie, zrobione z białych jak śnieg baranków, a na głowie podobną futrzaną czapkę. Strój ten ślicznie wyglądał przy ogorzałej jej twarzyczce i włosach czarnych, spadających w bogatych puklach na ramiona. Za nią szło dwóch pastuszków, świeżo przybranych, z fujarkami w rękę. Ci także urządzili na prędce siedzenie dla swojej pani z puszystych welnianych kolder i szalów, i rozpięli wspaniały namiot z purpurowego sukna, welnianemi sznurami i chwastami ozdobiony. Donna Ferdinanda de los Merinos, tak się nazywała druga prządka, Hiszpanka rodem, była przełożoną nad wszystkimi welnianymi wyrobami i teraz, nie tracąc czasu, kazała sobie podać piękny kołowrotek hebanowy i przędła na nim miękką, białą jak śnieg wełnę.

Trzecia prządka wyglądała znowu ina-

---

<sup>1)</sup> Batyst — cienka tkanina ze lnu.

czej. Suknię miała białą muślinową, suto namarszczoną, odstającą jak balon, a za każdym jej poruszeniem szeleścili perkalowe krochmalone spódniczki, których kilka miała pod spodem. Ubranie głowy stanowił duży kapelusz z białego faldowanego muślinu. Na usługi miała dwóch Murzynków, czarnych jak węgiel, z kędzierzawymi głowami. Ci w jednej chwili ułożyli wielki stos miękkiej waty i pomogli swojej pani umieścić się na tem siedzeniu. Usiadła tak lekko, że wata troszeczkę tylko opadła.

Murzynkowie osłonili ją faldzistym namiocikiem z lekkiego i przejrzystego jak mgła muślinu, i postawili przed nią jakąś sztuczną maszynkę, z różnych kólek i waleczków złożoną. Strojna prządka włożyła w tę maszynkę trochę puszystej waty i wyciągnęła śliczną niteczkę bawelnianą. Ta trzecia prządka, nazwiskiem Miss Jenny Coton, Amerykanka, miała pod swoim rozporządzeniem bawelnę i wszystkie bawelniane wyroby.

Najokazalszy widok przedstawiała czwarta prządka. Powłóczysta jej suknia zrobiona była z ciężkiego adamaszku<sup>1)</sup> zlocistego koloru. Na ramionach miała zarzucony płaszczyk aksamitny purpurowy, a włosy jej czarne, podczasane do góry po chińsku przykryte były przezroczyłą i lśniącą zasłoną gazową. Miała

---

<sup>1)</sup> Adamaszek — materja jedwabna (lub wełniana) w deseń.

przy sobie dwóch małych Chińczyków, ustrojonych w żółte jedwabne sukienki, z czarnymi warkoczami, spadającymi na ramiona. Nieśli oni długi ogon sukni swej pani, a przyszedłszy na miejsce, urządzili jej piękne siedzenie z baldachimem z samych jedwabi i aksamitów. Piękna ta pani była przełożoną nad wyrobami z jedwabiu. Od dawna już wprawdzie mieszkała w Europie, ale ponieważ jej ród z Chin pochodził, więc zawsze jeszcze nosiła chiński tytuł Mandarynki. Zasiadłszy na swoim miejscu, i ona także zajęła się robotą, ale nie miała do tego ani kądzieli, ani kołowrotka, tylko prześliczne zwijadelka z kości słoniowej. Nie przedła też swojej niteczki, bo niteczka ta, cieniutka jak pajęczyna, a jednak niezmiernie mocna, już była gotowa, zwinięta w jakieś małe, okrągławe kłębuszeczki, które Chińczykowie wrzucili do złotego kociołka, napelnionego wodą wrzącą.

Mandarynka pierwsza rozpoczęła rozmowę w te słowa:

— Już to trzeba przyznać, moje panny siostry, że wszystkie wasze wyroby muszą ustąpić przed moimi. Gdzież tu wasze płótna, perkale, wasze szorstkie sukna i merynosy <sup>1)</sup>, mogą się porównać do moich wspaniałych jedwabnych materji, do tych aksamitów, atlasów, pięknych wstążek, które wychodzą z mo-

---

<sup>1)</sup> Merynos — cienka materja wełniana.

ich pracowni. A jednak ja z moją przedzą daleko mniej trudów od was ponoszę, poczciwe liszki wszystko robią za mnie.

— Przepraszam cię, panno siostrze, odezwiała się skromna Konopianka; — prawda, że wyroby twoje są bardzo piękne, ale moje niezawodnie więcej korzyści przynoszą. Bogacze tylko stroją się w jedwabie i aksamity, iluż to ubogich ludzi bez nich się obchodzi; a bielizna każdemu jest koniecznie potrzebna. Płótno nawet wtenczas, kiedy się podrze, służy jeszcze na szarpie dla chorych, a najdrobniejsze strzępki i szmatki zbierane są skrzętnie przez galganiarzy i oddawane do fabryk, gdzie z nich robią papier. Moja praca dość jest uciążliwa, ale wszystkie przyznać musicie, że najużyteczniejsza.

— Wybacz, wybacz, siostrzyczko, zawołała Hiszpanka, Donna Ferdinanda de los Merinos, nakładając świeży pęk białej wełny na swój kolowrotek, — jeżeli idzie o pożytek, to ja nikomu nie ustąpię pierwszeństwa. Ciekawa jestem, coby ludzie robili w zimie, gdyby musieli poprzestać na twoich płótnach i batystach, gdybym ja im nie dostarczyła ciepłej flaneli, dobrego sukna i różnych miękkich chustek i szalów. Moje wyroby są trwale, nie-drogie, więc dla ubogich przystępne, ale i bogaci nie gardzą wcale pięknymi dywanami mojego wyrobu, pysznymi kaszmirami, śliczną włóczką. O, nie! mówcie sobie, co chcecie, ale

ja z pewnością pierwsze miejsce trzymam pomiędzy wami.

— Poczekaj, poczekaj, siostrzyczko kochana, nie przechwalaj się znów tak bardzo, przerwała zwinna Amerykanka, Miss Jenny Cotton, poprawiając się na swoim siedzeniu, gdzie trudno jej było utrzymać równowagę, więc coraz głębiej zapadała w puszystą watę. A o mnie to już zapominacie? Ja jednak, prawdę powiedziawszy, sama jedna was wszystkie zastąpić potrafię. Bielizna z perkalu jest bardzo dobra, a tańsza od płóciennej; barchan prawie tyle ciepła daje, co flanela, a pierze się lepiej. O wacie to już niema co i mówić, niech się schowa Donna Ferdinanda ze swoją włóczką i ze swojemi ciepłymi szalami, mojej waty nie nie potrafi zastąpić. Jeżeli idzie o piękne stroje, i tu ja się przed wami nie powstydzę. Królowa nawet może się śmiało ubrać w przejrzystą suknię muślinową, a tak świetnie będzie wyglądała, jak nasza Mandarynka we wspaniałych swoich adamaszkach.

Okazała Mandarynka pogardliwie ruszyła ramionami, poprawiając aksamitnego płaszczyka, Hiszpanka rozśmiała się na głos, zakręcając prędeż kółka swojego kolowrotka, nawet wieśniaczka, milcząc, kręciła główką na znak, że się nie zgadza na te szczególne pretensje Amerykanki.

## II.

Cztery prządki pracowały czas jakiś w milczeniu, każda z nich była troszkę obrażona na towarzyszki, że jej pierwszeństwa odmawiały, tymczasem każdej przybywało przędzy, szczególnie Amerykanka na swojej maszynie tyle nasnuła, że ułożyła przy sobie stos ogromny wielkich motków bawelny. To też co chwila spoglądała z uśmiechem na inne prządki, które jej dorównać w tem nie mogły, wreszcie nie mogąc się dłużej powstrzymać, zawołała wesolo:

— Przestańcież się już dąsać, siostrzyczki kochane. Ej, co tam, nie warto się sprzeczać, każda z nas ma swoje zasługi. Zgadzam się na to zupełnie, że płótna z lnu i konopi są trwalsze i lepsze od moich perkali, a ciepłe tkaniny wełniane więcej warte od barchanów. Nie przeczę także, że moja skromna muślinowa suknia nie może się porównać do świetnych strojów Mandarynki; ale ja nie jestem taką wielką damą, jak ona, i obejdę się bez tej parady. A teraz jedną rzecz wam tylko powiem. Patrzcie, co ja tu przędzy nasnułam, czy która z was to potrafi? O maszynkę tu nie idzie, wiem ja, że i wy umiecie się obchodzić z podobnymi maszynami, ale skądbyście wzięły tyle materjału? Nie dadzą go owce, ani jedwabniki, ani lnu tyle niema na świecie. A ja taką mam zawsze obfitość bawelny, że cały

świat zasypuję swojemi wyrobami i mogę je znacznie taniej od waszych sprzedawać. Zamiast sprzeczać się niewiedzieć o co, możemy daleko przyjemniej czas przepędzić, opowiadając różne ciekawe rzeczy każda o swoim rzemiośle. Czy zgoda?

— Zgoda, zgoda! zawołały wszystkie. Zaczynajże ty, siostrzyczko; twoje zajęcia są dla nas bardzo ciekawe, ty mieszkasz gdzieś za morzem, i nie wiemy, co tam porabiasz.

— Najchętniej, — odrzekła Amerykanka i skinąwszy na swoich Murzynków, żeby jej podali świeży zapas bawelny do przędzenia, tak rozpoczęła opowiadanie:

Już od dawna osiadłam sobie w Ameryce, gdzie mi jest bardzo dobrze i wygodnie. Bawelna, roślina, która mi dostarcza materiału na przędzę, tu u was nie może być uprawiana, bo jest za chłodno dla niej, w Ameryce najlepiej się udaje. Jest to niewielki krzew, liście i kwiaty ma bardzo podobne do waszego ślazu. W niektórych gatunkach bawelny lodyga jest miękka i zielona, jak u ziół, ale każda wydaje jednakowe torebki nasienne, a mnie tego tylko potrzeba. Torebki te są suche, a gdy dojrzeją, z wielką łatwością pękają. We środku zaś jest mnóstwo nasionek, każde otulone w miękki, biały puszek, który natychmiast wydobywa się z ciasnej kryjówki, jak tylko okrycie pęknie. Moi Murzynkowie muszą się dobrze pilnować, ażeby w porę zebrać torebki bawelny, bo inaczej



wiatr poroznosiłby po polach i lasach ten puch wraz z nasionkami, i trudno byłoby go pozbierać. Oj, ciężka to praca, tembardziej, że tam w naszym kraju straszne są upały. Możecie sobie wyobrazić, ile to jeszcze trudów. potrzeba dolożyć, ażeby bawelnę należycie oczyścić z nasion, skorupki i różnego śmiecia. Nakoniec pakujemy ją, jak można najciaśniej, w ogromne wory, które jeszcze pod prasą się ściskają, żeby jak najmniej zajmowały miejsca. Większa połowa naszej bawelny idzie na okręty, które ją do was, do Europy odwożą. Tu dopiero w przędzalniach wyrabiają to niezmierne mnóstwo różnych bawelnianych tkanin. Resztki zaś i odpadki, nieprzydatne na przędzę, przerabiają się na watę. A teraz ty, Mandarynko, opowiedz nam coś o swojej sztuce.

— Doprawdy, siostrzyczko, że mi troszkę wstyd, — odezwała się Mandarynka, — bo ja przy tobie wyglądam na próżniaczkę. Byle zdrowe były poczciwe moje liszki i byle miały co jeść, to mi zawsze dość przędzy nasnują, ja nawet o materiał do tej ich roboty nie potrzebuję się troszczyć. Na wiosnę rozkladam drobne jajeczka jedwabników w izbie czystej i ciepłej, a wnet wychodzą z nich małe robaczki. W ogrodzie mam drzewa morwowe, które umyślnie kazałam zasadzić dla moich liszek. bo one nic innego nie jedzą, tylko liście morwowe. Co dzień im przynoszą świeży zapas tych liści, a moje małe prządki wybornie się

niemi tuczą, rosną i coraz więcej apetytu nabierają. Wyobraźcie sobie, że we własnej skórze pomieścić się nie mogą, aż ciasna ta skóra pęka i zsuwa się z nich, jak rękawiczka. Szczególna ta przemiana powtarza się kilka razy, aż wreszcie liszki prząść zaczynają. Z własnych swych ciałek wydobywają klej i snują z niego niteczkę, niezmiernie mocną i tak długą, że całutkie się w nią owijają, jakby wlaży w jakiś kłębuszeczek wewnątrz próżny, w którym sobie usypiają. Osobliwe te kłębuszeczki nazywają kokonami. Jak widzicie, mnie już bardzo niewiele zostaje do roboty. Każę tylko kokony zanurzać w wodę wrzącą, żeby się niteczki rozkleiły, i zwijam je w motki, które potem w fabrykach zwykłym sposobem przerabiają na różne piękne materje jedwabne.

— A cóż ty robisz z temi liszkami, co tam śpią w tych kokonach — zapytała Hiszpanka? — Toż one pewnie giną w tej gorącej wodzie. Pocóż ty się tak pastwisz nad niemi?

— Niestety, niema innego sposobu, — mówiła Mandarynka, — one porwałyby mi jedwab w kawalki, gdybym im pozwoliła się przebudzić. Wiem to z doświadczenia, bo zawsze zostawiam sobie pewną ilość kokonów. Zamknięte w nich liszki przemieniają się w motyle, przebijają kokony i wylatują, a jedwab już na nie się wtedy nie zda. Za to motyle znoszą mi potem nowy zapas jajeczek.

— Ale skądże dostałaś pierwsze jajeczka? — zapytała Konopianka.

— Moja praprababunia, która niegdyś w Chinach mieszkała, przysłała do Europy pierwsze jajeczka jedwabników. Musiała je kiedyś bardzo dawno znaleźć w morwowych lasach chińskich, ale teraz podobno i tam nigdzie po lasach niema dzikich jedwabników, tylko je wszędzie ludzie hodują.

— Przyznam ci się, siostrzyczko — rzekła Donna Ferdinanda de los Merinos, — że już ja wolę swoje rzemiosło. Przynajmniej nie potrzebuję mordować tych poczciwych owieczek; dopilnuję tylko, żeby miały welnę wymyta i wyczesaną. Trzeba wam wiedzieć, że piękność mojej przędzy zależy głównie od gatunku owiec. Welna z prostej owcy nie da się przerobić na miękką, delikatną tkaninę. Najwyborniejsze owce pochodzą z Hiszpanji; nazywają je merynosami od mojego nazwiska. Przodkowie moi już od bardzo dawnych czasów te owce hodowali, a welna ich przez staranne utrzymanie nabrała takiej delikatności. Amerykańskie łamy, ładne kózki, które tam w górach przebywają, dostarczają mi także pięknego materiału. Szczególniej lama, zwana wigonią, prześliczną ma welnę, i różne z niej wyrabiają materje.

— Co do mnie, — mówiła Konopianka, — skromne moje prace powszechnie są znane. Najprzód w polu zasiewam len i konopie, a gdy wyrosną, ścinam lodygi i moczę je

w wodzie, póki zwierzchnia skórka nie zgnije. Kiedy już ta twarda powłoka odpadnie, zostają pod spodem miękkie włókna, które jeszcze z wielkim mozolem trzeba oczyszczać i czesać. Teraz już są do tego maszyny, ułatwiające tę robotę. Do przędzenia i tkania używają teraz także różnych sztucznych przyrządów. Ale muszę was pożegnać, bo idę w pole, doglądać zbioru lnu.

Inne prządki także powstały, bo każda przypomniła sobie jakieś pilne zajęcie; pożegnały się i rozeszły w najlepszej zgodzie.

## Robotnicy pana Jakóba.

---

— Waciu, Jadwiniu, czy już skończyliście wszystkie lekcje? — zapytał ojciec. — Idę do pana Jakóba. Dzień taki piękny, może pójdziecie ze mną?

Pan Jakób był to sąsiad, którego dzieci bardzo dobrze znały, nigdy jednak nie były jeszcze u niego. Ucieszyły się więc niezmiernie na te słowa ojca, i w pięć minut gotowe, wybiegły na dziedziniec, gdzie ojciec czekał już na nie. Chociaż do sąsiada był dobry kawał drogi, dzieci ani się opatrzyły, kiedy stanęły na ganku mieszkania pana Jakóba. Dowiedziawszy się, że był w ogrodzie, tam połączyły za nim wraz z ojcem.

Wkrótce ujrzano go z daleka. Zajęty był ścinaniem liści z drzewa: rzucał je w duży koszyk, który stał przy nim na ziemi. Spostrzegłszy gości, pan Jakób powitał ich bardzo uprzejmie; właśnie też ukończył swoją robotę i, wzięwszy kosz w rękę, zaprowadził dzieci do domu.

Wacio i Jadwisia prosili go, żeby im pozwolił zanieść ten koszyk, a gdy zezwolił, zaczęli się przypatrywać, co to za liście, i dopytywać, naco to pan Jakób je pościinal.

— To pewnie do kwaszenia ogórków — rzekła Jadwinia, która zawsze bywała obecną przy kwaszeniu ogórków i wiedziała dobrze, jak to się robi. — Ale co to za liście? — dodała, oglądając je. — To nie są liście dębowe, ani porzeczkowe.

— To są liście morwowe — rzekł pan Jakób — to na obiad dla moich robotników.

Dzieci spojrzaly na niego trochę zdziwione.

— Liście morwowe? — rzekł Wacio — ja nie znam takiej jarzyny. Czy to się zaraz ugotuje? Chciałbym bardzo skosztować tej potrawy.

— Wątpię, żeby wam to smakowało — odparł pan Jakób z uśmiechem — najprzód, to się wcale gotować nie będzie, pokraje się tylko drobno i zje się na zimno. Będą mieli wyborny obiad.

— Jako — zawołał Wacio — pan im nie da na obiad, oprócz tego zieliska?

Jadwinia nie już nie mówiła, bo oburzona była na pana Jakóba. Jak on mógł tak żywić nieszczęśliwych robotników? I ktoby się tego spodziewał? Zdawał się taki dobry. Jak też to się można zawieść na ludziach!

Tymczasem zbliżali się do domu, a pan

Jakób otworzył drzwi dużej izby, sam wszedł najprzód, a dzieci wniosły za nim kosz z morwowym liściem. Sala ta dziwnie była urządzona: wkoło przy ścianach stały półki drewniane, naksztalt szaf, a na tych półkach porozsypane resztki liści, drobno pociętych.

— Cóż tam, moi poczciwi — odezwał się pan Jakób — może wam już głód dokucza? Oto właśnie, kochani moi, przynoszę wam obiad: zaraz wam tu do stołu nakryję.

Dzieci obejrzały się zdziwione. W pokoju nikogo nie było. Postawiły kosz na podłodze i spojrzały na ojca, który widząc ich miny pomieszane, głośnym parsknął śmiechem.

— Zbliźcież się — rzekł, postępując za panem Jakóbem — i zapoznajcie się z tą jego poczciwą czeladką.

Dzieci się zbliżyły i z niezmiernem zdziwieniem spostrzegły na półkach mnóstwo drobnych robaczków. Robaczki te laziły, kręciły się i podnosiły lebki tak zabawnie, jak gdyby rozumiały głos pana Jakóba, który wciąż przemawiając do nich przyjaźnie, krzątał się około przyniesionych liści.

Najprzód rozciągnął na każdej półce rodzaj siatki, w drewniane ramki wprawionej; potem krajał drobno liście morwowe i sypał je na te siatki: wtedy robaczki jeszcze zabawniej lebki podnosiły i weiskwały się przez siatkę do listeczków, które pożerały chciwie.

— Więc to pan sobie z nas żartował — rzekła Jadwinia uszczęśliwiona, że mogła znów

wrócić swoją przyjaźń dobremu panu Jakóbowi, którego przez chwilę miała za brzydkiego sknerę<sup>1)</sup>, karmiącego biednych ludzi zielskiem.

— Ale nie — odrzekł pan Jakób — ja wcale nie żartowałem: to są w rzeczy samej moi robotnicy.

— Pocóż ich pan robotnikami nazywa? — zawołał Wacio. — Cóż to brzydkie robactwo może robić?

— O, bardzo piękne rzeczy, bardzo użyteczne rzeczy — rzekł pan Jakób. — Niedaleko szukając, oto te ładne niebieskie wstążeczki u kapelusza Jadwini to robota tego brzydkiego robactwa.

— Ach! to jedwabniki! — zawołały dzieci i pilniej robaczkom przypatrywać się zaczęły.

— Ale skąd się one tu wzięły? — zapytała wreszcie Jadwinia — i jeszcze takie mnóstwo! Czy to w lesie pan Jakób nazbierał tyle tych liszek?

— O, nie — odpowiedział pan Jakób — w lesie takich liszek niema, nawet w krajach gorących nigdzie ludzie jedwabników nie znaleźli po lasach.

— A skądże je wzięli? — zapytał Wacio.

— Kiedyś, bardzo dawno — odrzekł pan Jakób — musiały żyć dziko na drzewach morwowych, bo jedwabniki tylko morwowymi liśćmi się żywią; ale od niepamiętnych cza-

---

<sup>1)</sup> Sknera — skapiec.



sów chowają się tylko u ludzi, tak zupełnie, jak psy, których również nigdzie znaleźć nie można, dziko żyjących w lasach, chociaż także skądś je ludzie musieli wziąć i przyswoić. Pszenica jest również taką rośliną, która nigdzie, ani u nas, ani w ciepłych krajach nie rośnie i nie rodzi, tylko wtenczas, kiedy ją człowiek zasiewa i uprawia. Ja sobie sprowadziłem jajka jedwabników. Póki było chłodno, jajka te wyglądały jak ziarnka, niktby nie poznał, że w nich są żyjątka; dopiero kiedy w pokoju dobrze napalili, jajka popękały i ma-lutkie robaczki zaczęły się z nich wydoby-wać; teraz już od trzech dni zajadają liście, a za dwa dni będą usypiać.

— Usypiać? — zapytała zdziwiona Jadwinia — a jakże to one usypiają? a kiedyż będą jedwab przędły? Czy nam pan pokaże, jak one to będą robiły? Ja taka ciekawa jestem, jakim sposobem taki malutki robaczek może uprząść prawdziwą niteczkę i z czego to one przędą?

— Najprzód — rzekł pan Jakób — będą jadły coraz więcej, a zawsze też same morwowe listeczki; urosną, pięć razy będą usypiały, potem dopiero prząść zaczną.

— Ale cóż znaczy to usypianie? — zapytał znów Wacio.

— Jeżeli ojciec pozwoli — rzekł pan Jakób — przyjdę po was, jak moi robotnicy do snu się zabiorą, i zobaczycie sami.

Łatwo się domyślicie, że ojciec zgodził

ię chętnie. Tymczasem dzieci pomagały panu Jakóbowi bardzo gorliwie w zajęciu: Wacio krajał liście równo i porządnie, Jadwinia je ozsypywała na siatki, a kiedy już wszystkie iszki wydobyły się na wierzch, pan Jakób podniósł je wraz z siatkami i zmiatał czysto półki drewniane, na których mnóstwo było różnych nieporządków.

— A teraz — mówił pan Jakób — kiedyśmy już nakarmili robotników, chodźmy i my na podwieczorek: dla moich gości kochanych będą inne przysmaki.

Z godzinę jeszcze po podwieczorku biegały dzieci w ogrodzie; nareszcie powróciły do domu, pożegnawszy pana Jakóba, który przyrzekł, że przyjdzie po nie, jak tylko liszki usypiać zaczną.

W kilka dni potem pan Jakób przyszedł po dzieci; ujrawszy go z daleka, wybiegły naprzeciwko niego, wołając:

— A co! czy już usypiają? czy już usnęły? O! chodźmy, chodźmy prędzej, żeby się czasem bez nas nie przebudziły.

— Ale pozwólcie panu odpocząć — zakładali rodzice; lecz dobry pan Jakób, widząc niecierpliwość dzieci, nie odpoczywał i pięciu minut, i szybko puścili się w drogę.

Gdy weszli do izby jedwabników, oczom ich dziwny przedstawił się widok: wszystkie liszki były nieruchome, lebki miały podniesione, a całe wyglądały niby wyprężone. Choć w tej izbie było dosyć ciemno, bo pan

Jakób utrzymywał, że jego robotnicy światła nie lubią, dzieci, przypatrując się bliżej, spostrzegły, że każda liszka wlokła za sobą parę cieniutkich, ledwie dojrzanych niteczek, na których była jakby uczepiona. Ale jakież było zdziwienie Wacia i Jadwini, gdy ujrzeli, że jedna z nich zaczęła się poruszać i wylazić ze skóry, zupełnie jakby z jakiego pokrowca. Skóra ta była pęknięta wzdłuż i jak tylko liszka się z niej wydobyła, opadła naksztalt starej, niepotrzebnej rękawiczki. Dzieci zaczęły się przypatrywać uważnie i przekonały się, że dużo już liszek wydobyło się tym sposobem z dawnej skóry. Wszystkie wyglądały zmęczone i osłabione niezmiernie, ledwo się mogły poruszać.

— Biedne robaczki — rzekła Jadwisia — ten sen i to przebudzenie musi je bardzo męczyć. Ale oto już prąść zaczynają: nieprawdaż, że te niteczki, co się tak wloką za nimi, to jest jedwab?

— Tak — mówił pan Jakób — ale to są jeszcze luźne, krótkie niteczki, z których nie można żadnego zrobić użytku. Wprzód liszki muszą pięć razy zmienić skórę, a dopiero zaczną prąść na dobre. Teraz zostawmy je, niech się już załatwiają, jak mogą, ze starymi skórami, a my chodźmy przygotować im żywność, bo podczas snu nic nie jadły i będą porządnie zgłodniałe.

Dzieci udały się do ogrodu z panem Jakóbem i pomogły mu przygotować spory za-

pas liści morwowych. Potem nadszedł ojciec i odprowadził je do domu, a pan Jakób obiecał, że znów przyjdzie po nie, jak będzie im miał co ciekawego do pokazania.

Minęło parę tygodni, a pan Jakób nie przychodził. Już dzieci zaczynały myśleć, że zapomniał o obietnicy, aż zjawił się nareszcie, oznajmując im, że teraz już zobaczą coś ciekawego, i warto, żeby do pracowni jego robotników zajrzały. Ucieszone dzieci wybrały się, jak mogły najspieszniej, i wkrótce stanęły w mieszkaniu pana Jakóba. Udano się wprost do jedwabników. Wchodząc, usłyszały dzieci szum dziwny, jakby ulewnego deszczu, a zbliżywszy się, spostrzegły, że to liszki tak gwałtownie poruszały stosami liści, wśród których się uwijały. Ale jakże urosły od ostatniej bytności Wacia i Jadwini! Dziś były to duże gąsienice, zupełnie niepodobne do tych małych robaczek, bo nawet kolor ze skórą zmieniły: przedtem ciemne, teraz stały się jasno-szare, białawe.

A jak żarłocznie pożerały! Pan Jakób podrzucił im jeszcze więcej morwowych liści, już ich nawet nie krajał, ale w całości nakładał stosami.

— Teraz — rzekł — muszę dobrze nakarmić moich robotników, bo już wkrótce zaczną dla mnie pracować.

Napatrzywszy się dowoli na żarłoczne liszki, Wacio i Jadwinia odeszli, otrzymawszy

od pana Jakóba obietnicę, że im da znać, jak tylko jedwabniki prząść zaczną.

Z wielką niecierpliwością wyglądali tej chwili i tym razem niedługo czekali. W kilka dni nadszedł pan Jakób. Nie potrzebuję wam mówić, że powitany był jeszcze radośniej, niż zwykle. I nie zawiodły się dzieci, bo widok, który im się przedstawił w izbie jedwabników, rzeczywiście był bardzo ciekawy. Na gałązkach umyślnie do tego przygotowanych siedziały liszki i snuły nitki jedwabiu. Jedne dopiero kilka razy owinęły wokół siebie tę przędzę, inne już dalej w swojej pracy postąpiły i, poruszając lebkami, snuły niteczki swoje w regularne kręgi, jakby na motowidle, nie przerywając ich wcale.

— Jakżebym chciała wiedzieć — rzekła Jadwinia — skąd biorą jedwab te dziwne zwierzątka.

— Jedwabniki — mówił pan Jakób — posiadają pochewki pełne kleju, które zajmują całą długość ich ciała z obu stron. Klej ten, zasychając w ich pyszczku, przybiera postać nitki jedwabiu. Gdy już oprzędy będą gotowe, co nastąpi za parę dni, przyniosę wam kilka i zobaczycie, jak doskonale niteczki odstaną od siebie, gdy je w kipiącej wodzie zanurzymy. Cały kokon czyli oprzęd jedwabnika jest z jednej nitki osnuty. Nitka ta, która ma czasem do tysiąca metrów <sup>1)</sup> dłu-

---

<sup>1)</sup> Metr — miara francuska, blisko 2 łokcie.

gości, nie jest jednostajna; najlepszy jedwab znajduje się w środku.

Ale proszę pana — zapytała jeszcze Jadvinia — cóż się z gąsienicą staje, kiedy pan rozwija ten jedwab? Cóż ona tam robi w tym oprzędzie?

— Gąsienica — rzekł pan Jakób — usypia tam raz ostatni i zamienia się w poczwarkę.

— W poczwarkę? — zawołał Wacio — ja wiem, co to jest. Nieraz takie poczwarki widziałem w ogrodzie na listkach albo na ścianie uczepione. Wygląda to zupełnie, jak kawałek czegoś nieżywego, a jednak ojciec powiada, że z tego wylatują motylki, a te poczwarki to znów z gąsienic się robią. A więc i te liszki jedwabników w poczwarki się zamieniają? Ale cóż potem z nimi się stanie? Wszak motylki z nich nie powylatują?

— I owszem — rzekł pan Jakób — to są zupełnie takie same stworzenia, jak te gąsienice i poczwarki, które w ogrodzie widzisz: liszka zamienia się w poczwarkę, poczwarka w motyla.

— O, mój Boże! — zawołał Wacio, — czy to być może? Więc z tych wszystkich liszek porobią się motyle i będą latać po pokoju? A toż dopiero będzie prześlicznie. I pewnie piękne będą te jedwabne motyle? I my przyjdziemy je zobaczyć, nieprawdaż, panie Jakóbie?

— Ale ja, niestety, nie myślę wycho-

wywać takiego mnóstwa motylów — odpowiedział pan Jakób — nie miałbym z tego żadnej korzyści. Gdy oprzędy będą gotowe, poczwarki muszą zginać, a ja zabiorę jedwab.

— Zginać? — rzekła Jadwinia.

— Niewszystkie, — pocieszał ją pan Jakób — zostawię pewną liczbę oprzędów, których nie tknę wcale i pozwolę motylkom przebić je i wylecieć.

— I nam pan je pokaże?

— O! bardzo chętnie, ale nie myślcie, żeby te motyle były piękne. Jedwabniki należą do rodzaju nocnych, unikają światła. Są to bardzo niepokazne, niewielkie ćmy białawe. Dla mnie jednak będą bardzo pożyteczne, bo mi naniosą znów tych jajeczek, z których liszki wychodzą.

— A! i znów będą zajadały i przędły. Ale czemże pan karmić je będzie w zimie, kiedy liście z morw opadną?

— Na zimę schowam jajka w chłodnym miejscu i będę czekał do wiosny. Kiedy już morwy się rozwiją, wniosę je znów do tej izby, każę napalić i dopiero się wyklują.

W tydzień potem pan Jakób przyniósł dzieciom parę oprzędów. Jadwinia próbowała sama swój jedwab rozwinać, ale niebardzo jej się udało, gdyż był niezmiernie cienki, więc drugi oprzęd schowała nietknięty, jako osobliwość.

Poszły także dzieci obejrzeć motyle jed-

wabne, jak je nazywał Wacio, ale pokazało się, że nie było na co patrzeć, tembardziej że pan Jakób pozasłaniał okna w tym pokoju, gdzie je trzymał, a to dlatego, że motyle, jako ćmy, światła nie znoszą.



K Kempka  
4-11a 5.12.68



# BIBLIOTECZKA

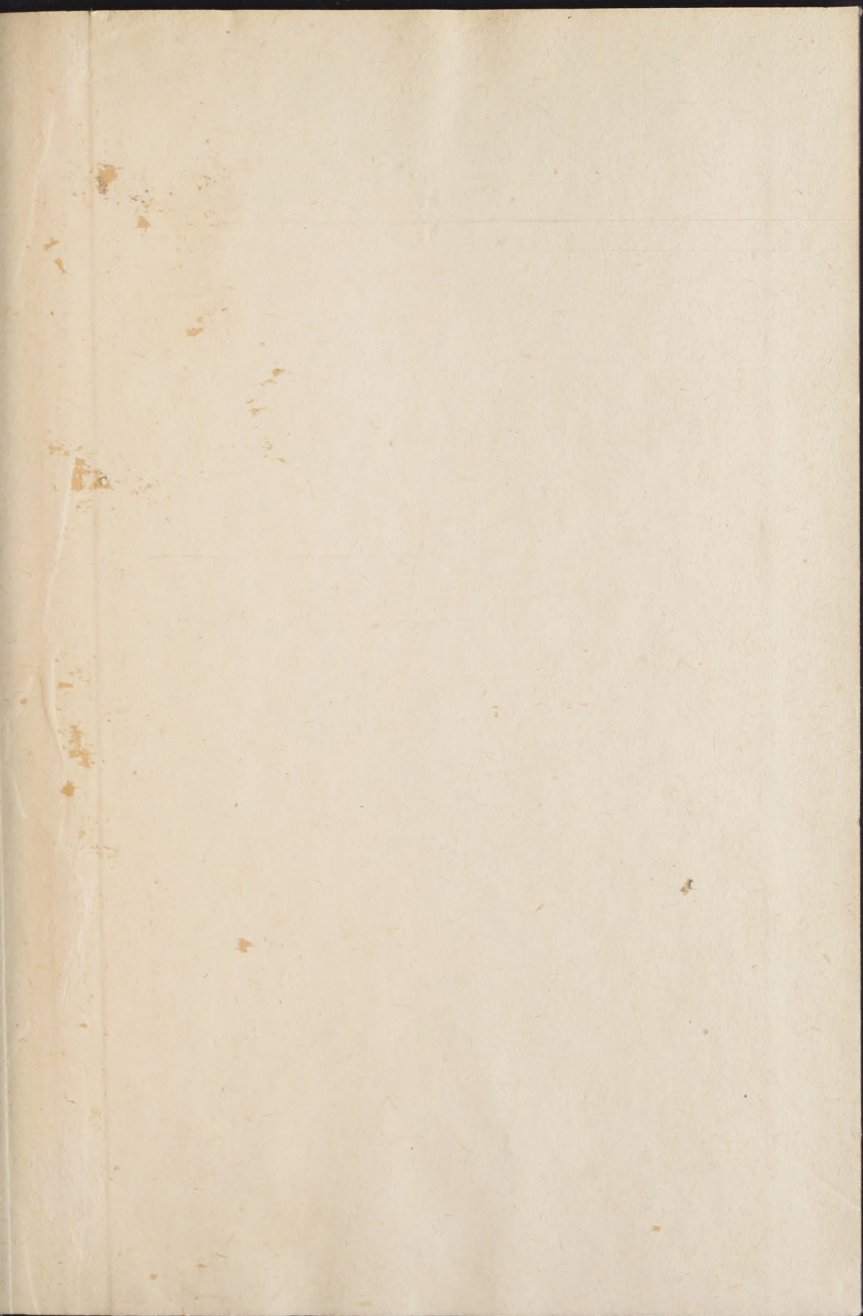
## UNIWERSYTETÓW LUDOWYCH

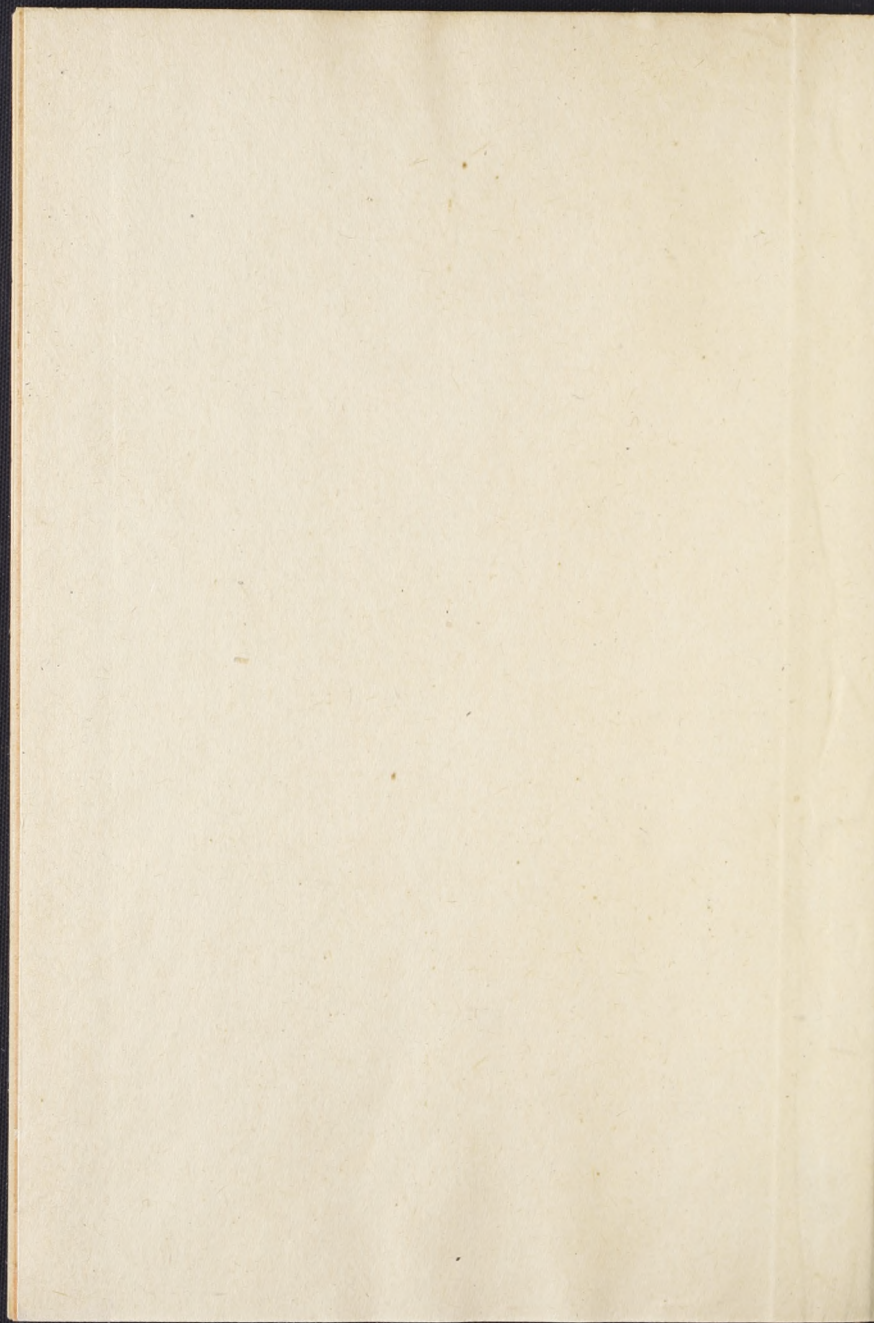
	Kop.
1. Konopnicka Marya. Dym . . . . .	6
2.       >       >    Banasiowa . . . . .	6
3.       >       >    Nasza szkapa . . . . .	10
4.       >       >    Niemczaki . . . . .	6
5. Żeromski Stefan. Siłaczka. — Na pokładzie . . . . .	8
6. Prus Bolesław. Antek . . . . .	8
7.       >       >    Na wakacjach. — Katarynka . . . . .	8
8. Orzeszkowa Eliza. Siteczko. — Czy pamiętasz? . . . . .	8
9.       >       >    Babunia . . . . .	8
10.       >       >    Ogniwa . . . . .	8
11.       >       >    Panna Antonina . . . . .	8
12.       >       >    A... B... C... . . . . .	8
13. Sienkiewicz Henryk. Janko muzykant. — Latarnik . . . . .	6
14.       >       >    Wspomnienie z Maripozy. — Jamioł. — Organista z Ponikły . . . . .	0
15.       >       >    Bartek zwycięzca . . . . .	12
16. Galle Henryk. Czytanki polskie I. . . . .	30
17.       >       >    Czytanki polskie II. . . . .	30
18. Reymont Władysław. Sąd . . . . .	6
19.       >       >    W porębie. — Przy robocie . . . . .	8
20.       >       >    Tomek Baran . . . . .	12
21.       >       >    Pewnego dnia . . . . .	8
22. Junosza Klemens. Froim. — Zając . . . . .	8
23. Kraszewski J. I. Łoktek na łożu śmierci. — Tatarzy na weselu . . . . .	6
24.       >       >    Upiór . . . . .	10
25.       >       >    Z dziennika starego dziada . . . . .	10
26.       >       >    Profesor Milczek — Rejent Wątróbka . . . . .	6
27.       >       >    W oknie. — Nauczyciele sieroty . . . . .	8
28. Rzewuski Henryk. Kazanie konfederackie. — Książd Marek (z Pam. Soplicy) . . . . .	6
29.       >       >    Tadeusz Rejten (z Pam. Soplicy) . . . . .	6
30.       >       >    Sawa — Pan Borowski (z Pam. Soplicy) . . . . .	10
31. Sienkiewicz Henryk. Pieszko przez Czarny Łąd (Listy z Afryki) I. . . . .	16
32.       >       >    Pieszko przez Czarny Łąd (Listy z Afryki) II. . . . .	10
33.       >       >    Na Oceanie Atlantyckim (Listy z podróży) . . . . .	8
34.       >       >    Z puszczy amerykańskiej . . . . .	8

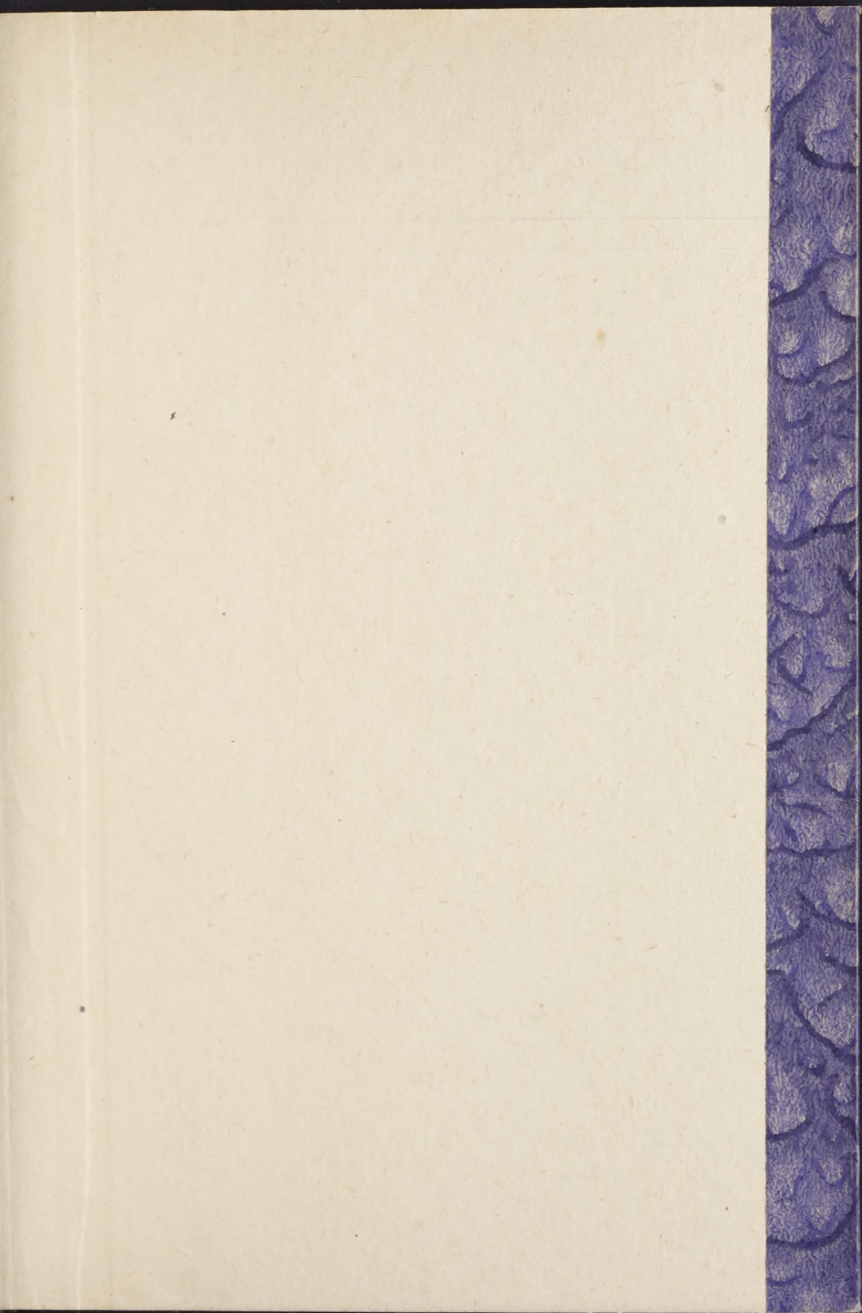
# BIBLIOTECZKA

## UNIWERSYTETÓW LUDOWYCH

	Kop.
35. Prus Bolesław. Kamizelka. — Michałko . . . . .	8
36. Dygasiński Ad. W puszczy. . . . .	12
37.     »     »     Wilk, psy i ludzie . . . . .	10
38. Junosza Klemens. Wilki. — Wesołego . . . . .	8
39. Tetmajer Kaz. Książd Piotr . . . . .	6
40. Gomulicki W. Chałat . . . . .	8
41. Żeromski Stef. Zmierzch. — Cokolwiek się zdarzy . . . . .	6
42. Skarbek F. Łukasz Stempel . . . . .	6
43.     »     »     Mundur. — Jaszczuł . . . . .	6
44.     »     »     Dwie siostry. — Przewoźnik . . . . .	6
45. Wilkoński A. Moja mówka pogrzebowa. — Przypadek który na własne oczy widziałem . . . . .	6
46.     »     »     Gorzkie wspomnienia . . . . .	8
47.     »     »     Wspomnienia szkolne. — Pomyłka. — Ułamek. . . . .	6
48. Żmichowska N. Prządki, powieść ze wspomnień dzieciennego wieku . . . . .	8
49. Sienkiewicz H. Z puszczy Białowieskiej . . . . .	6
50.     »     »     Niewola tatarska . . . . .	8
51.     »     »     Pójdźmy za Nim . . . . .	8
52. Łętowski Jul. Wawrzyńcowie . . . . .	8
53. Sienkiewicz H. Za chlebem . . . . .	20
54.     »     »     Ze wspomnień nauczyciela poznańskiego . . . . .	10
55.     »     »     Sielanka — Legenda żeglarska . . . . .	6
56. Sienkiewicz L. Portret króla Jana. — Postowie siewierscy . . . . .	6
57.     »     »     Wieczór u gen. Kopcia. — Wiązanka konwali . . . . .	6
58. Sienkiewicz H. Orso — Sachem . . . . .	8
59. Gomulicki W. Oracz. — Filemon i Baucis. — Nieprzespany sen pani Maciejowej . . . . .	6
60. Kosiakiewicz W. Sarna. — Literatura mojej żony. — Nabo- żeństwo majowe . . . . .	8
61. Sewer. Łusia Burlak . . . . .	10
62.     »     »     Wiosna . . . . .	10
63.     »     »     Dola . . . . .	10
64. Dygasiński A. Co się dzieje w gniazdach . . . . .	6
65. Sieroszewski W. Kulisi . . . . .	6
66.     »     »     W ofierze bogom . . . . .	6
67.     »     »     Bokser (Uang-Ming-Tse) . . . . .	6









BN

BIBLIOTEKA  
NARODOWA

40.9049